

Guy de Téraumont.

# Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

25

## Bal Ambasady Chińskiej.

Baronowa zeszła z dorożki, która ją odwiozła do jej mieszkania, zapłaciła sztangreta i szybko przebiegłszy chodnik, skierowała się do drzwi domu.

Nie zadzwoniła jednak.

Zaczekała aż powóz odjechał i długo i uważnie patrzyła w opustoszałą ulicę.

Żaden cień podejrzenia nie wylonił się z głębokiego cieniu drzew oświetlonych z góry niebieskawym światłem wysokich lamp elektrycznych. Pewna więc, że nikt nie podążył za nią, piękna Rosyanka krokiem zdecydowanym ruszyła ku placowi Almy. O tej spóźnionej godzinie przejeżdżają niekiedy tamtędy automobile do wynajęcia, które odwożą do domów spóźnionych gości. Jeden z nich właśnie posuwał się w jej stronę w dosyć wolnym tempie.

Baronowa krzyknęła na szofera, wskoczyła do wozu rzucając adres:

— 25 ulica d'Enghien.

Był to to adres Newtona, który zamieszkał tam w wygodnym eleganckim domu po przyjeździe do Paryża. Dozorczyni przekupiona złotą monetą, pospieszyła pomimo spóźnionej godziny zaprowadzić baronową do mieszkania detektywa.

Spał on głęboko. Przebudzony dzwonieniem, usłyszawszy nazwisko przybyłej, pospieszył ubrać się i otworzyć...

— Pani o tej godzinie? pani baronowa? — zdziwił się. — Cóż się to stało?

Urywaniem i zdenerwowanym głosem opowiedziała mu ostatnie wypadki, których stała się ofiarą.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem — wyrzekł wysłuchawszy jej uważnie do końca — niepokoi więcej pania zawartość bileciku, który został pani oddany w teatrze, niż to, co się z nim stało?

— Tak jest, panie Newton.

Myśl, że ten przekłety kawałek papieru, zawierający może dowód jej nędznych kombinacji, mógł wpaść w ręce policyi, napętniał baronową nieopisanym lękiem.

Newton zastanawiał się długą chwilę.

Najjaśniejszem z całej tej sprawy dla niego było to, że, aby uciec oknem przed nadejściem agentów, tajemniczy oswobodziciel baronowej musiał mieć ważny powód, ważniejszy może niż chęć ukrycia zawartości biletu, którego usunął, przed ich ciekawością.

Czy to był może dezterter, skazaniec jakiś, który uciekł z więzienia, czy też rzezimieszek chroniący się przed pościgiem władz?

W każdym razie to nagłe zniknięcie zdradzało pragnienie zachowania kompletnego incognito. Po dokonaniu tak odważnego czynu, w ucieczce tej było naprawdę zawiele skromności.

— Mojem zdaniem pan! baronowo — odezwał się w końcu Newton — sytuacja jest mniej rozpaczliwa niż się to pani zdaje. Indywiduum, które jest w posiadaniu listu hrabiego Praskopelly, prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z jego ważności, jest nawet prawdopodobnem, że znalazłszy go w swojej kieszeni poprostu wyrzucił go... w każdym razie mogę zapewnić panią baronową, że nie pójdzie oddać go w ręce policyi.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zapewne ma z nią pewne rachunki osobiste do uregulowania i że dobrowolnie nie zechce nadstawiać głowy pod nóż.

— On? ten człowiek, który z narażeniem życia wyratował mnie z rąk tych bandytów?

— Podłość nie zabija w człowieku odwagi pani baronowo — wyrzekł poważnie detektyw. — Niech pani nie podziwia tak jego czynu... co do mnie, zapastruję się na to sceptycznie. Skąd pani wiedzieć może, że ten człowiek nie liczył na wdzięczność bogatej kobiety, jaką jest pani?

— W takim razie oplacę ją sowicie, panie Newton!... Niech tylko zjawi się u mnie. Dam mu sumę jakiej tylko zażąda odemnie...

— Trzebaby go najsamprzód odnaleźć — przerwał z ironicznym uśmiechem detektyw.

— Tak — potwierdziła piękna Rosyanka, powracając do rzeczywistości. — Panie Newton, niech go pan szuka, niech go pan znajdzie koniecznie... on musi panu zwrócić ten bilet, inaczej jestem zgubiona.

— Żąda pani odemnie nie łatwej rzeczy, pani baronowo. Ale jeżeli słowo niemożliwość nie jest słowem francuskim, obcem jest także i dla nas amerykańców. Rozpocznę bezzwłocznie śledztwo i jak tylko wpadnę na ślad jaki, uwiadomię panią.



W kilka sekund otwór wywiercony został...

— Życie moje wisieć będzie na włosku do tej chwili! — zawołała baronowa.

— No, no, pani baronowo, proszę się tak nie poddawać zniechęceniu. Niema nic straconego, zaręczam pani i niech pani stara się zasnąć po tych przejściach, potrzebuje pani tego koniecznie.

Podczas kiedy baronowa powracała znowu na ulicę Borguét, uspokojona trochę słowami detektywa, ten ostatni przejrzał szybko plan Paryża, który miał zawsze pod ręką, aby dokładnie obznajomić się z położeniem ulicy Ramm, poczem zarzucił na siebie płaszcz, zapalił cygaro i wyszedł na ulicę.

— Brl... — mruknął podnosząc kołnierz palta. — Nie jest bardzo ciepło tej nocy. Co za przekłety fach jednak! Człowiek musi latać po nocy, kiedy tyle uczciwych ludzi śpi sobie spokojnie...

Zaciągnął się z wściekłością dymem cygara i szybkim krokiem pospieszył w stronę Belleville.

Tymczasem właściciel hotelu „Nadzieja“, trochę zaniepokojony o własną opinię, mogącą być skopromitowaną w tej niepotrzebnej i nie bardzo czystej historii zasypiał właśnie, kiedy zadzwoniono gwałtownie do jego bramy.

Wstał z łóżka w bardzo złym humorze i wściekłym głosem zapytał robotnika w niebieskiej bluzie, który czekał u wejścia, czego żąda?

— Pokoju! — odpowiedział przybyły.

A ponieważ właściciel przyglądał mu się dosyć nieufnie przy blasku chwiejnego płomyka świecy, zdziwiony, że poważny robotnik mógł się znajdować o tej godzinie na ulicy bez dachu nad głową, tamten dodał przeciągłym akcentem używanym w dzielnicy:

— Bo to widzi pan!... poróżniłem się trochę z moją kobietą. o głupstwo... o nędzną pieczeń barania, no i poszedłem do szynku na partyę domina z kolegami. A pan wie, nieprawdaż, że jak się już raz zacznie to końca niema. Tylko przysiągłem sobie, że tej nocy nie powrócę do domu i dotrzymam przysięgi, a że ujrzałem tę latarnię świecącą z daleka przed pana hotelem, więc postanowiłem noc zakończyć u pana, oczywiście o ile mnie pan przyjmie.

Wyjaśnienie to było zupełnie możliwe, a że mówiąc, robotnik zrećnie dzwonił w ręce kilkoma monetami srebra, hotelarz uspokojony, pozwolił mu wejść i wchodząc za nim do biura hotelowego rzekł zyczliwszym już głosem:

— Trzeba żeby pan zapisał swoje nazwisko.

— Barozo chętnie — odpowiedział nowoprzybyły i grubym, niewyrobionym pismem wypisał powoli: „Julian Didiez, blacharz“.

— Proszę iść za mną — rzekł wówczas właściciel hotelu zdejmując klucz z wieszadła.

Udał się na pierwsze piętro i otwierając drzwi jakieś dodał jeszcze:

— Będzie tu panu bardzo dobrze...

Był to pokój sąsiadujący z tym, do którego bandyci zaprowadzili byli baronową. Robotnik spojrział na numer i zawołał:

— Ohi 13! to fatalna cyfra! Wolałbym ten drugi obok!

— Nie mogę dać go panu.

— Nie jest wolny?

— Owszem, ale...

Uznał widocznie wytłumaczenie za niepotrzebne i głosem podrażnionym, w którym brzmiała cała nieugaszona jeszcze złość do policyi rzucił przez zęby:

— Tak jest, jakgdyby nie był wolny. Ten pokój kosztuje dwa franki pięćdziesiąt! Zostawiam panu świecę.

— Oto pieniądze.

Widok pieniędzy uczynił hotelarza jeszcze uprzejmiejszym.

— Czy nie chce pan, aby pana zbudzono rano? — rzekł grzecznie.

— Nie, dziękuję... Dobranoc panu...

Pozostawszy sam robotnik spieszenie podszedł do ściany pokoju i uderzył w nią kilkakrotnie. Ściana oddała dźwięk czysty.

— Cienka jest — szepnął z uśmiechem zadowolenia.

Nie zwlekając wyjął nieduży świder z pudełka, które miał w kieszeni.

W kilka sekund otwór wywiercony został, tak, że można było przez niego widzieć doskonale, co dzieje się w przyległym pokoju.

— No! załatwiłem się zdaje się dosyć dobrze — szepnął z uśmiechem. — Chcąc śledzić wypadki, na których mi zależy, najlepiej było włożyć się na samo miejsce ich przebiegu. Jestem więc tu i zostaję.

Robotnikiem tym był Paweł de Vareillés.

Jak tylko agenci znikli, uprowadzając swoich więźniów, postarał się o przebranie, pozwalające mu bez narażenia się na poznanie, przedzić noc w hotelu „Nadziei“.

(Ciąg dalszy nastąpi).